

Transkrypcja

Muzeum Historyczne w Przasnyszu prezentuje legendy mazowieckie

SKĄD SIĘ WZIĘŁY TRZY WIEŻE W HERBIE PRZASNYSZA

- Ropucha! Ojej, tatusiu kochany, ropucha! - wrzasnęła nagle Maćko stając jak wryty. - Przelazła mi drogę.

- No to co braciszku? Cha cha cha! Gęziej skórki dostałeś na widok zwyczajnej ropuchy? - parsknął śmiechem Przemko postępujący z tyłu. - Czego się boisz? Przecież Cię nie ugryzie.

- Ale może mnie opluć trującą śliną i zamienić w krasnego muchomora – obruszył się Maćko i podnosząc nogi wysoko jak bociek ostrożnie ominął paproć, pod którą zniknęła ropucha. - jużś zapomniał, co o leśnych gadach rozповідаła ciotka Jagła? Ponoć nieszczęścia okrutne przynoszą i domowej zwierzynie, i ludziom poczciwym. Ciotka Jagła powiada, że lepiej już, aby człękowi dwa czarne koty drogę przelazły niżli jedna marna ropucha.

- Za bardzo bierzesz sobie do serca bajduły naszej ciotki Jagły, synku – bartnik Przasnych uśmiechnął się leciutko pod wąsem i przełożył z jednego ramienia na drugie długi pręt z dębiny, zwany przez puszczaków macaczem, a służący im do wymacywania drogi podczas przeprawy przez bagna.

- Czegóż to ludziska nie wygadują o życiu w książęcej Zagajnicy. Wszystko dlatego, że sami niewiele o nim wiedzą. Czterdzieści wiosen łązę po puszczy i jeschcem nie widział, ażeby ropucha wyrządziła komuś krzywdę. Rozumie się, jeśli nie liczyć robaków. Bo te zjada na pęczki. I muchy, i komarzyska, i liche, i rozmaite glisty. Ba, nie przepuści nawet myszy.

- Ropucha zje mysz? - Przemko spojrział na ojca z niedowierzaniem. - Tatusiu, nie żartujecie?

- Raz patrzyłem na takie łowy. Prawda, ropucha ogromna wtedy była, mysz zaś maleńka, więc ją pożarła bez trudności – potwierdził bartnik. - Powiadam jeno, com widział na własne źrenice. Nie łązę ani pół słowa, synku.

Nie uszli kilkudziesięciu kroków, gdy spomiędzy starych szyszek wygramolił się jeź i przemaszerował tuż przed nosem Maćka na drugą stronę ścieżyny. Za jeżem, wściekle ujadając, puścił się pies chłopców.

- Rozbój, dokąd pędzisz, kołku zatracony? - wykrzyknął w ślad za psem Przasnych.- Wracaj, zanim kolce nos ci pokaleczą na amen.

- A jeża nie boisz się, braciszku?

Maćko spojrział na brata z wyrzutem.

-Przemeczku, wiesz przecież, że to poczciwy jeź, to nie szkaradne ropuszysko. Na odwrót, ciotka Jagła cięgiem gada, że spotkać jeża w borze, to jakby znaleźć złotego dukata na gościńcu. Pracowity i zapobiegliwy jeź zwykł przynosić ludziom szczęście.

Ledwie ruszyli w dalszą drogę, przez szum lasu, poprzez pracowity stukot dziecięcia i natrętne kukanie gżegzółki, przedarł się jakiś obcy głos, jakby jakoweś zawodzenie albo wołanie.

- Cichajcie – stary bartnik zatrzymał się i nakazał synom milczenie.

Wkrótce wołanie powtórzyło się. Ludzki głos niósł się gdzieś od strony moczarów, od Trzęsawisk Ponurego Rogalca.

- Pośpieszajmy z pomocą, synkowie – zdecydował bartnik.-Poniechajmy niedźwiedzia, który barć nam zniszczył. Za jego tropem rozejrzemy się później.

- Tatku, a jeśli to diabeł mamy niewinne dusze? Nie chodźmy tam. Może bies rogaty chce nas podstępem ściągnąć na bagna? A potem zatopić? Pamiętajcie, co wiosną opowiadał wuj Roch z Ciechanowa? To właśnie gdzieś tutaj zielonookie utopce pochwyciły go za portki i szarpały do siebie. Znaczą się na moczarową głębiznę, skąd dla żywych wyjścia nijakiego nie ma.

- Diabeł nie diabeł, utopiec nie utopiec, przecie ktosik woła ratunku – stary Przasnych znów przystanął na moment i przyłożył otwartą dłoń do ucha, żeby lepiej słyszeć. - A jeżeli wzywa pomocy, godzi mu się z takową pośpieszyć.

-Tatku, a jeśli to naprawdę jakiś czart borowy? - Maćko rozejrzał się bojaźliwie dookoła. - Jakieś piekielne dytko czyhające na ludzkie duszyczki?

- A cóżeś ty Maciusiu, dzisiaj taki zającem podszyty? - wtrącił się niecierpliwie Przemko, starszy z bartnikowych synów. - We trzech przecie jesteśmy w borze. A każdy z nas z ostrym oszczepem i łukiem. I z kołczanem pełnym strzał pokropionych wodą święconą przez wędrownego mnicha. Zapomniałeś, że onże mnich rozprawiał nam o wodzie święconej i grzesznych diabłach?

- Niczego nie zapomniałem – Maćko wzruszył ramionami. - Mnich powiadał, iż bies leśny stracha się wody święconej bardziej niż kulawa mysz jastrzębia na niebie. Albo królik głodnej lisicy.

- Nie bądźże więc, Maciusiu, ani kulawą myszą, ani tłustym królikiem.

Przemaszerowali kawał drogi. Powtarzające się od czasu do czasu wołanie stawało się coraz wyraźniejsze.

- Chłop to woła, nie baba – mruknął do siebie Przasnych i jeszcze przyśpieszył kroku.

- Tatku, nie chodźmy dalej. Tam niebezpiecznie – Maćko usiłował przytrzymać ojca za rękaw. - Toć to pewnie nie człowiek, ale któryś z Borutowych krewniaków. Diabeł Rogalec, Smrodnik z gębą pełną dymiącej siarki albo Odmieniec z jałowcowym chwostem. Albo jeszcze jakiś inny ogoniasty.

- Puść, synku. Nie godzi się zwlekać z pomocą istocie potrzebującej.

- Tatku, pamiętacie brodawkową ropuchę? - Maćko nie ustępował. - Ropuszysko nieszczęście zwiastuje. Wszyscy o tym dobrze wiedzą. Tatku kochany, lepiej zawracajmy.

- A jeża pamiętasz, Maciusiu? -wtrącił się znów Przemko i pociągnął brata za potęg kubraka. - Też go dzisiaj spotkaliśmy. Jeź szczęście przynosi. Chodźmy zatem szybciej. Najlepiej biegiem, bo dotrzeć trza na moczary, póki jeszcze nie jest za późno.

Pobiegli więc.

Nad Trzęsawiska Ponurego Rogalca dotarli nieomal w ostatniej chwili.

W bagnach tkwił człowiek. Nieznajomy długie minuty szarpał się, usiłując walczyć z chciwymi moczarami, ale nadaremnie. Beznadziejne położenie sprawiło w końcu, że i o wołaniu, i o ratunku zaprzestał myśleć. Najwyraźniej i siły opuściły go dokumentnie.

Puszczacy błyskawicznie odrzucili na bok oszczepy oraz łuki z kołczanami i ustawili się jeden za drugim. Maćko złapał za rękę Przemka, Przemko za lewą rękę ojca, ojciec zaś wysunął przed siebie, jak mógł najdalej, mocny i długi pręt swego bagiennego macacza.

-Chwyćcie panie, a mocno! I nie puszczajcie, na Boga! Zaraz was stamtąd wyciągniemy! O tak, dobrze. Jeszcze troszeczkę... jeszcze... już!

Przemoczony do suchej nitki i śmierdzący bagnem nieznajomy zwałił się u stóp bartnika. Dysząc ciężko, na wpół przytomny leżał dłuższą chwilę bez ruchu. Wreszcie uniósł głowę i wystękał z wysiłkiem:

-Kim jesteście, dobrzy ludzie? Powiadajcie, komu żywot zawdzięczam?

-Myśmy, panie, tutejsi. Bartnicy żyjący z pracy pszczoł w borze. Jam Przasnych, a to moi synkowie, Maćko i Przemko. Usłyszeliśmy wołanie, więc pobiegliśmy w tę stronę ile sił w nogach. W puszczy zwyczajna to rzecz śpieszyć z pomocą człowiekowi znajdującemu się w potrzebie.

Leżący na murawie, nadal ciężko dysząc, wyjaśnił:

-Księciem waszym jestem. Panem na Mazowszu. Przez bór jechałem, gdy koń mnie poniósł. Wystrachał się kosmatego i oszalały z przerażenia pomknął wprost na mokradła. Zginął w tych błotach. Ledwie zdążył wyciągnąć nogi ze strzemion i zeskoczyć z siodła. Ale i tak kostucha dosięgła by mnie tu swoją kosą, gdybyście nie nadbiegli w porę.

-Później nam to wszystko opowiecie, wielki panie – Przasnych pochylił się nad leżącym i wyciągnął doń rękę. - Teraz jak najrychlej trza nam się dostać do chałupy. Trzeba cię panie, porządnie osuszyć, natrzeć ziołowym mazidłem i napoić czymś bardzo gorącym. Spróbujcie wstać, wielki panie. Ruszamy w drogę.

Zaledwie książę mazowiecki dźwignął się na nogi i zrobił ze dwa labo trzy kroki, nieoczekiwanie potknął się i jak długi runął na ziemię. Kiedy bartnik dopomógł mu ponownie wstać, na czole niedoszłego topielca wyrósł guz wielkości kukułczego jaja.

-Nic to, szlachetny panie. Pewnikiem zawadziliście tu gdzieś o sosnowy korzeń. Aby bólu się pozbyć, zimny nóż przyłożymy do łba. Obaczycie, zaraz wam ociupinę ulży.

Do chaty na polanie puszczačka gromadka, prowadzona przez psa, dotarła późnym wieczorem. Już od progu bartnik zakomendował:

-Wywczasuj się, wielki panie, do samiuśkiego rana i zapomnij na zawsze o tamtym przeklętym topielisku. A teraz do roboty. Dopomóżcie mi, synkowie.

Nie zwlekając we trzech rozebrali księcia z wilgotnych szat, natarli mocno bobrową skórą, aż zrobił się czerwony niczym dziób klekota, następnie ułożyli na niedźwiedzim futrze i nakryli troskliwie siedmioma wilczymi skórąmi. Napoili także naparem z leśnych ziół i malin zaprawionych lipowym miodem, aby się porządnie wypocił, bo wiadomo nie od dzisiaj, iż z cierpiącego choroba musi spłynąć wraz ze strużkami potu.

Ledwo spod książęcych skór rozległo się chrapanie, Przasnych skinął na młodszego syna, aby wyszedł z nim przed chałupę.

- Czemuś to zrobił, Maciusiu?

- A co, tatku?

- Nie udawaj, dobrze widziałem. Umyślnie podstawiałeś nogę księciu. Dlaczego?

- A bo... bo ciągle nie byłem pewien, czy to aby nie czart bagienny przybrał przed nami wielmożną postać.

- I dlatego biedaka, który i tak cudem stał na nogach, musiałeś obalić na ziemię?

- Nie inaczej, tatku. Chciałem przekonać się, czy w nim nie ma diabelskiego łgarstwa, czy naprawdę to książę? Gdyby był to bies, nie rymnąłby na łeb, ale spadł na cztery łapy niczym kocur. No i wtedy łacno przekonałbym się, czy od spodu ma kopyta zamiast stopy. Czart guza też by sobie chyba nie nabił na twardej czaszce, a tymczasem wszyscyśmy widzieli ogromniastą śliwę. Teraz, tatku kochany, nie ma nijakiej wątpliwości. Nie bies to, lecz zwyczajny człowiek. Nie, no niezwyczajny, jeno sam książę.

Przasnych udał zagniewanie.

-Za to ja mam wątpliwości, kołku zatracony, czy wielki pan nie każe cię wysiec różgami, kiedy domyśli się, że to wcale nie za przyczyną sosnowego korzenia owocowała mu owa śliwa na głowie.

Na szczęście wszystko skończyło się znakomicie. Rano książe wylazł spod wilczych futer i wesół niby leśny szczygieł. Gadał nieustannie, śmiał się i podkpiwał z wczorajszej przygody.

Kiedy zaś Przasnych postawił przed nim dzban miodu i cynowy kubek, książe zażądał:

-Weź sobie i kubek, zbawco mój, przepijemy.

Drugiego cynowego kubka w chałupie nie było, bartnik postawił więc na ławie niewielki garnek z wypalanej gliny. Książe nalał pitnego miodu do obydwu naczyń i trącił się z gospodarzem.

-Zdrowie twoje i twoich synków, bartniku. Ocaliliście mi żywot. Bez waszej pomocy zginałbym marnie na moczarach. Czymże mogę się wam wywdzięczyc?

-Dobrym słowem, wielki panie. Wystarczy, bo nie potrzebujemy niczego. Książęcy las przecie nas karmi i odziewa – odrzekł Przasnych mocno wzruszony i nie wiedząc, co by tu jeszcze powiedzieć, dorzucił zgodnie z nawykiem: - Mamy co trzeba, kołku zatracony.

Książe spojrział zdumiony na bartnika i aż gębę rozdziawił szeroko.

-Wybaczcie ojcu, panie wielki – wtrącił się szybko Przemko – to tylko takie jego powiedzenie. Nic nie znaczące.

-Ależ nie gniewam się, bartniku – książe roześmiał się ubawiony. - Na miejscu tej chałupiny dwór wam wystawię okazały. A obok każę wybudować zamek, do którego będę zjeżdżać z drużyną, gdy przyjdzie mi chęćka zapolować w borze na żubra, tura lub łosia.

I stało się wedle książęcego życzenia. Na leśnej polanie wkrótce wzniósł się piękny dwór z dębowych bali, tuż obok zaś zameczek książęcy z trzema wieżycami. Niebawem wokół zamku wyrosły zabudowania dalszych puszczaków.

Od tamtej pory minęło kilka stuleci. Po dębowym dworze Przasnychy i książęcej warowni nie pozostało dzisiaj ani śladu.

Ale czy naprawdę? Pozostała wszakże ta legenda. Oraz miasto na polanie wyrosło z bartnikowej osady. Przasnysz się nazywa. Pozostał również herb Przasnysza, nadany gródkowi leśnemu przez pana na Mazowszu. Herb z trzema wieżycami na tarczy. Jedną wyższą i dwie nieco niższymi wznoszącymi się nad murem obronnym i bramą wjazdową. Nietrudno domyślić się, że te trzy wieże książe umieścił w herbie na cześć starego bartnika Przasnychy i jego dwóch dzielnych synów.